

Marek Dobies

Anatomia
przypadku



Marek Dobies

*Anatomia
przypadku*

Rozdział I (fragment)

Przypadek to odrobina chaosu, który wkradł się w zdeterminowany przez Boga porządek świata albo narzucony przez człowieka porządek rzeczy – pomyślał Bohdan Boss Górecki, pieszcząc w pulchnych dłoniach ogromny, lśniący chromem colt Peacemaker kaliber 45. Tę budzącą respekt i szacunek broń wygrał w pokera od najprawdziwszego Amerykanina, którego w lepszych czasach gościł w swoim przybytku hazardu. Z tym, nieco staroświeckim jak jego właściciel, kawałkiem metalu wiązały się też jakże miłe wspomnienia, czyniąc z niego przedmiot o wartości sentymentalnej.

Górecki siedział przy pokrytym zielonym suknem stoliku do gry w blackjacka, oświetlonym lampą zawieszoną nisko nad blatem. Za jego plecami dębowy bar wabił oko rzędami kolorowych butelek, zwielokrotnionych przez odbicie w lustrze. Młody barman z bródką kontemplował za kontuarem kryształową czystość wycieranego właśnie kieliszka. Obaj mężczyźni wyrażali brak zainteresowania swoją obecnością. Każdego z nich bowiem pochłaniała jego własna partyjka z rzeczywistością.

Boss zdawał sobie sprawę z nieprzewidywalności wypadków, jednak z uporem maniaka usiłował wyeliminować ją ze swojego życia, a zwłaszcza ze swojej, nie zawsze zgodnej z prawem, działalności. Niestety, świadomość tego faktu nic a nic nie poprawiła mu humoru, gdy okazało się, że jego kolejny – dokładnie przemyślany i potrójnie zabezpieczony przed ewentualną porażką - plan właśnie wziął w łeb. Mężczyzna doskonale wiedział, że cała rzecz tkwi w tym, żeby kontrolować jak największą liczbę „zmiennych”, po swojemu organizować przestrzeń działania. Ale jak je kontrolować? Jak zapanować nad chaosem zdarzeń? Ta wiedza była oczywiście niedostępna dla szefa niewielkiej, acz dobrze prosperującej grupy przestępczej. Nieudana akcja, która wyprowadziła go z równowagi, okazała się właśnie jednym z przykładów braku kontroli nad wypadkami, które usiłował sprowokować.

Do mrocznej sali kasyna, zupełnie legalnego interesu, dryfującego jak tratwa na morzu niezgodnej z prawem działalności Bossa, weszło dwóch dobrze ubranych mężczyzn. Górecki oderwał wzrok od połyskującej powierzchni colta i rzuciłby im pewnie pełne aprobaty spojrzenie, gdyby nie zmartwienie, które doskwierało mu od wczoraj. Może pochwaliby świeży glanc ich butów i gładkość wygolonych lic, bo lubił, żeby jego chłopcy stylizowali się na amerykańskich gangsterów; tych „klasycznych”, z czasów Ala Capone. Dlatego wszyscy wciskali się w ciemne garnitury, wiązali stonowane krawaty, a fryzury nosili schludne, krótkie i gładko zaczesane. Taki *look* obowiązywał w kasynie, a poza nim był mile widziany.

Ci dwaj doskonale odpowiadali tym standardom.

- Opowiadać mi tu szybko, jak to się stało, że cały mój misterny plan nagle runął. – Boss wstał z krzesła i zaczął przechadzać się przed stojącymi karnie obok siebie dwoma roslymi facetami, którzy utkwili wzrok w lśniącej czerni swoich lakierok. – Ładunek zadziałał, winda spadła, tak...?

- Tak, szefie!

- A jednak Mały, jak gdyby nigdy nic, wyszedł sobie na nocną przechadzkę, co?!

- Nie wiem, czemu nie wsiadł do windy. Pierdolnęło, kiedy trzeba...

- Tylko mi tu bez takich słów! – skarcił podwładnego, wymachując energicznie palcem wskazującym przed twarzą goryla. Górecki słynął z tego, że brzydził się wulgaryzmami i ostro tępił ich używanie przez swoich ludzi.

- Winda spadła, czyli musiała zatrzymać się na siódmym piętrze... - osilek analizował na głos sytuację. - Bomba uzbroiła się jak należy... był wybuch, a jednak Mały, nie wiedząc czemu, ocalał.

- No dobrze... I co mieliście zrobić, gdyby wyszedł na ulicę?

- Przejechać skurwy... skurczykota – szybko poprawił się mężczyzna.

- Więc dlaczego dotarł cało do samochodu?

Zapadło pełne napięcia milczenie. Mężczyźni zerkali na siebie, ale żaden nie ośmielił się odpowiedzieć. Ich młode, kanciaste twarze stężyły w oczekiwaniu. Wyglądali niemal jak bracia – nawet zmieszanie i niepewność na ich niezdradzających nadmiernej inteligencji obliczach zdawały się identyczne.

Górecki sięgnął do kieszeni spodni, wyjął lśniący nabój, po czym wsunął go do komory colta i ostentacyjnie zakręcił bębenkiem. Lufę pistoletu przystawił do głowy rozmówcy. Postawny jegomość o ulizanych włosach, z misternie wyczesanym

przedziałkiem, skulił ramiona, zmrużył oczy, a czoło przeorały mu dwie grube zmarszczki.

- Wóz nam nie chciał odpalić – wydukał wreszcie. A potem wydał z siebie głośnie westchnienie ulgi, gdy pistolet tylko szczęknął metalicznie przy jego uchu.

- A dlaczego go zgubiliście? – szef zadał pytanie drugiemu ze swoich ludzi.

Górecki był otyły i znacznie niższy od swojego podwładnego, więc żeby dosięgnąć głowy goryla musiał wspiąć się na palce. Z boku sytuacja wyglądała komicznie, jednak osiłkowi nie było do śmiechu. Boss ponownie zakręcił bębenkiem i zbliżył wylot lufy colta do skroni pytanego. Facet odchylił się, wykrzywił usta, a oczy osłonił dłonią, jakby zakrywał je przed snopem rażącego światła.

- Za szybko odjechał, skubaniec! – rzucił nerwowo.

Górecki delikatnie pociągnął za spust. Tym razem krótkie szczęknięcie poprzedziło ogłuszający huk wystrzału. Mężczyzna zachwiał się i nagle runął na pokrytą miękkim dywanem podłogę. Lecz nie padł martwy. Nawet nie stracił przytomności, tylko zaczął wic się i rzucać w konwulsjach, wrzeszcząc z bólu. Szef, poirytowany jego babskim piskiem, kopnął go w brzuch i przeszedł nad nim okrakiem. Gangster przestał wreszcie zawodzić i tylko jęczał monotonie, zgięty wpół, z dłońmi zaciśniętymi na głowie. Ciągle żył, a dywanu wyściełającego kasyno nie splamiła ani jedna kropla krwi.

Boss w gruncie rzeczy uważał zabijanie za przejaw barbarzyństwa i nigdy nie strzeliłby nikomu w głowę. Jeśli już trzeba było pozbawić kogoś życia, wolał dokonać tego w sposób subtelniejszy, bardziej wyrafinowany. Nie w jego stylu było wbicie noża w plecy czy strzał między oczy. Mężczyznę powaliła na podłogę nie kula, lecz huk ślepego naboju eksplodującego blisko ucha. Wystrzał osmalił mu skórę na skroni i ogłuszył go na chwilę.

- Miał pecha – podsumował Górecki, spoglądając bez śladu współczucia na leżącego. – Zabierzcie go stąd i wezwijcie karetkę. Pewnie pękł mu bębenek.

Szef miejskiego gangu uwielbiał grać w rosyjską ruletkę, wkładając do komory colta ślepy nabój. Zwłaszcza po kilku głębszych stawał się niezwykle rozrywkowy. Dla zabawy i postrachu mierzył z broni do swoich ludzi. Przechadzał się między nimi chwiejnym krokiem i celował im w głowy albo namawiał do zakładu: wypali czy nie wypali? Chętnych do udziału w loterii brakowało, a okazałych rozmiarów pistolet budził respekt nawet wtedy, gdy nie był nabity. Rosyjska ruletka ze ślepym nabojem w bębenku była też sposobem Bossa na dyscyplinowanie ludzi. Wszczywał tę

nieprzyjemną grę, gdy chciał ich za coś ukarać albo napomnieć. Uważał, że traktuje pracowników jak ojciec dzieci: kiedy trzeba - karci, a gdy trzeba - chwali. Tym razem trzeba było kogoś ukarać, choć winy za nieudany zamach na Małego należało upatrywać raczej w krnąbrnym losie, przypadku, który często krzyżował Góreckiemu szyki, niż w działaniu osób, którym zlecił to zadanie.